

BOLESŁAW PRUS

ŻYWY TELEGRAF

Pani hrabina podczas wizyty w zakładzie sierot spostrzegła na korytarzu niezwykłą scenę: czterech chłopców wydierało sobie podartą książkę, dość żwawo okładając się kulakami.

- Zdaje mi się, dzieci, że się bijecie?... - zawołała przestraszona dama. - Za to żaden nie dostanie pierniczka i jeszcze pójdzie klęczyć.

- Bo, proszę pani, on mi zabrał Robinsona! - tłumaczył się jeden chłopiec.

- Nieprawda, bo to on!... - zaprzeczył drugi.

- Widzisz, jak kłamiesz! - zawołał trzeci. - To ty odebrałeś mi Robinsona.

Zakonnica wyjaśniła damę, że mimo pilnego dozoru podobne wypadki trafiają się dosyć często, dzieci bowiem łakną czytania, a książek zakład nie posiada.

W sercu pani hrabiny zatliła się jakaś iskra. Ponieważ jednak nużyło ją myślenie, więc starała się zapomnieć o tym. Dopiero w salonie radcy, gdzie wypadło mówić o rzeczach pobożnych i dobroczyńnych, opisała wypadek w zakładzie

wraz z objaśnieniem zakonnicy.

Radca słuchając doznał też niezwykłego uczucia i jako biegły-szy w sztuce myślenia, zawnioskował, że należałoby wysłać książki dla sierot. Przypomniał sobie nawet, że w szafie czy w kufrze posiada cały stos butwiejących druków, które niegdyś kupował dla swych dzieci; lecz... za ciężki już był do grzebania w rupieciach.

Wieczorem radca znalazł się u pana Z., któremu całe życie upływało na oddawaniu drobnych usług ludzkości, zawartej między siódmą a trzecią klasą urzędowej hierarchii. Chcąc mu zrobić przyjemność radca opowiedział panu Z. to, co hrabina widziała w zakładzie i słyszała od zakonnicy, dodając ze swej strony, że - wypada postarać się o książki dla sierot.

- Nic prostszego! - wykrzyknął pan Z. - Wstąpię jutro do redakcji "Kuriera" i

wpłynę na nich, ażeby zrobili ogłoszenie.

Na drugi dzień pan Z. wbiegł zadyszany do "Kuriera", na wszystkie świętości błagając redakcję, ażeby wezwała ogół do składania książek dla sierot.

Trafił szczęśliwie, ponieważ brakowało do numeru kilkuwierszowej wiadomości sensacyjnej. Jakoż referent wydziału uczuciowego siadł i napisał:

"Gromadka dzieci, zostających pod opieką publiczną, cierpi na brak książek.
Maleństwo tęskni.

Pamiętajcie o duszach głodnych!"

Potem gwizdząc wyszedł na obiad.

W parę dni później, w niedzielę, przed zamkniętymi drzwiami redakcji spotkałem ubogo odzianego człowieka z rękoma czarnymi jak u kominiarza, a wraz z nim szczupłą dziewczynkę niosącą pakę starych książek.

- Czego pan sobie życzy?

Ufarbowany człowiek uchylił czapki i odparł nieśmiało:

- Przynieśliśmy, proszę pana, kilka książek dla tych "głodnych", co panowie pisali...

A szczupła dziewczynka dygnęła rumieniąc się, o ile jej na to pozwalały początki blednicy.

Wziąłem od niej książki i oddałem redakcyjnemu chłopcu.

- Jakże się pan nazywa? - spytałem.

- Proszę pana, a na co to? - odparł zmieszany.

- Musimy przecież wydrukować, kto dal książki.

- O! to nie potrzeba, proszę pana; ja przede jestem ubogi człowiek z fabryki kapeluszy... To nie potrzeba...

I odszedł wraz z mizerną córeczką.

Obok mnie stał uczony profesor fizyki i zapewne skutkiem tego przyszedł mi na myśl - telegraf nowej konstrukcji.

Główną stacją był zakład sierot, boczną - robotnik z fabryki kapeluszy; gdy jeden zasygnalizował "baczość", drugi natychmiast odpowiedział. Gdy jeden zażądał, drugi przyniósł.

My inni spełniłmy funkcją słupów telegraficznych.